

565



Impresja węgierskiego artysty grafika Jánoja Kassa z budapeszteńskiego spektaklu „Replika” Józefa Szajny

JULIUSZ KYDRYŃSKI

O Kępińskiej, Szajnie i „Anty-Grotowskim”

Snobizmu, który przed wojną kazał Szyfmanowi dawać w warszawskim Teatrze Polskim światowe prapremiery nie najlepszych sztuk Shawa, a który już wtedy był zjawiskiem raczej żalonym, nie należy chyba uprawiać dzisiaj. Ale nie tylko z tego względu ostatnia premiera Teatru Powszechnego w Warszawie budzi wątpliwość. „Bel-Ami i jego sobowtór” — sztuka Luciano Codignola (która dostąpiła zaszczytu prapremiery światowej właśnie w teatrze Hübnera) jest po prostu utworem słabym, mimo że w ojczyźnie autora odznaczono ją nagrodą Pirandella. Słabym i — co gorsza — pretensjonalnym.

Owa historia życia Maupassanta, przeplatana z uteatralizowaną akcją jego powieści „Bel-Ami”, przy czym Codignola identyfikuje Maupassanta z jego powieściowym bohaterem — ma ambicje intelektualne, a nawet filozoficzne, lecz jest po prostu typowym tworem dawnego teatru mieszczańskiego, jakich to tworów przed wojną znani producenci europejscy dostarczali na peczyki. Filozofia Codignola jest płytką, jeśli nie żenującą, lecz oczywiście sztuka ma — i będzie miała — powodzenie. Nie brak w niej przecież scen drastycznych i już w pierwszym zdaniu pada słowo „gówno”. Radość — rzecz jasna — na sali. Żeby snobizm kierownictwa teatru i widzów zadowolić w pełni, reżyserował to dziełko również Włoch, a scenografię opracował Francuz.

Naprawdę jednak „Bel-Ami” bronić się może tylko aktorstwem. Obok znakomitego jak zawsze Wojciecha Pszoniaka w roli tytułowej (krytyka wumawia temu aktorowi rzekomo nieodpowiednie do tej roli warunki, a mnie się zdawało, że już dość dawno odeszliśmy od postaci konwencjonalnego amancika w stylu fryzjerskim), wielką satysfakcję sprawia oglądanie Władysława Kowalskiego w roli dziennikarza Forestiera. Ten aktor — o ustalonej już przecież i bardzo wybitnej pozycji — wciąż jeszcze się rozwija, czego nie można powiedzieć o wielu innych, należących do tego samego, co on, artystycznego pokolenia.

Ale przede wszystkim w „Bel-Ami” oglądamy po raz pierwszy od chwili jej zaangażowania się do Teatru Powszechnego — Elżbietę Kępińską w roli większej od epizodycznej. Nie znaczy to, że rola Madame Forestier jest godna wielkiego aktorstwa Kępińskiej. Cieszymy się przecież, że pozwala nam ona oglądać niezapomnianą Infantkę z „Martwej królowej”, Montherlanta, Uczennice z „Lekcji” i Służącą z „Eusei Aniewaczki” Ionesco, wreszcie wspaniałą Claire z „Pokojówek” Geneta nieco dłużej niż przez kilka chwil.

Kępińska jest bez żadnych wątpliwości najwybitniejszą polską aktorką z rocznika debiutującego o wiele lat później

niż Mikołajska czy Śląska, jest jedyną w naszym teatrze godną następczynią Ireny Eichlerówny, chociaż skądinąd tak bardzo się od niej różni. Wydaje się, że obecność takiej artystki w zespole powinna wpływać na repertuar teatru. Dzieje się tak na całym świecie, ale u nas dzieje się inaczej. Nie pierwszy to powód do zdumienia, jeśli idzie o „gospodarkę” aktorami na naszych scenach (w Krakowie zaniedbuje się tak np. doskonałą Elżbietę Karkoszkę).

Długa rozmowa z Józefem Szajną na dwa dni przed wyjazdem Teatru „Studio” do Amsterdamu, gdzie Szajna wystawi „Danteo” i „Replikę”. Rozmowa z artystą, żyjącym w świecie autentycznych problemów naszej epoki, zaabsorbowanym bez reszty ich wagą i szukającym właściwych sobie możliwości i sposobów wyrażenia ich w sztuce, to niemal zabieg higieniczny — odycha się potem jakby świeższym powietrzem. Szajna mówi nieco chaotycznie, przeskakuje z tematu na temat, lecz jeden motyw powraca nieodmiennie i wyraźnie: niepokój o zachowanie i wyeksponowanie wartości, które określają sens i jakość życia. Bez cienia frazeologii i nie sentymentalizując, Szajna z serdeczną troską pochyla się nad współczesnym człowiekiem, szukając dla niego — i dla własnej wrażliwości — dróg wyjścia z tragicznych zasadzek i ciemnych zaułków wspólnej nam egzystencji. Drogi te mogą okazać się czasem ślepych uliczkami, lecz cel poszukiwań jest jasny.

W Teatrze „Studio” wyraził się to wkrótce inscenizacją tekstów Kafki, opracowaną zresztą nie przez samego Szajnę, lecz przez jednego z jego młodych stażystów. A w nieco dalszej przyszłości Szajna zajmie się „Moby Dickiem” Melville’a. Zaskakujący — ale logiczny — wybór dzieła i tematu. „Moby Dick” należy do utworów, które i mnie z wielu względów są bliskie. Spotkamy się chyba z Szajną w poprzedzających inscenizację dyskusjach i decyzjach.

W przedostatnim numerze „Kultury” ceniony przeze mnie krytyk Maciej Karpiński, omawiając bardzo rozsądnie ostatnie „parateatralne” wyczyny Jerzego Grotowskiego, pisze w artykule, wymownie zatytułowanym „Anty-Grotowski”: „Jeśli w tym, co przynosi Grotowski, rzeczywiście kryje się idea piękna, mądra i wzniosła, to ma ona szansę zająć pełnym blaskiem tylko wówczas, gdy rozwieje się mgła niedopowiedzeń. Jeśli zaś to nie nastąpi i będzie musiało paść brzydkie słowo „mistyfikacja”, wówczas bardzo proszę pamiętać, że ja byłem pierwszy”.

Niestety, drogi panie Macieju. Może to pana zmartwi, ale pierwszy byłem ja. Nie czytał pan widocznie zamieszczonego jeszcze w sierpniu na tych łamach mego felietonu pt. „Sens powrotu”. A szkoda.